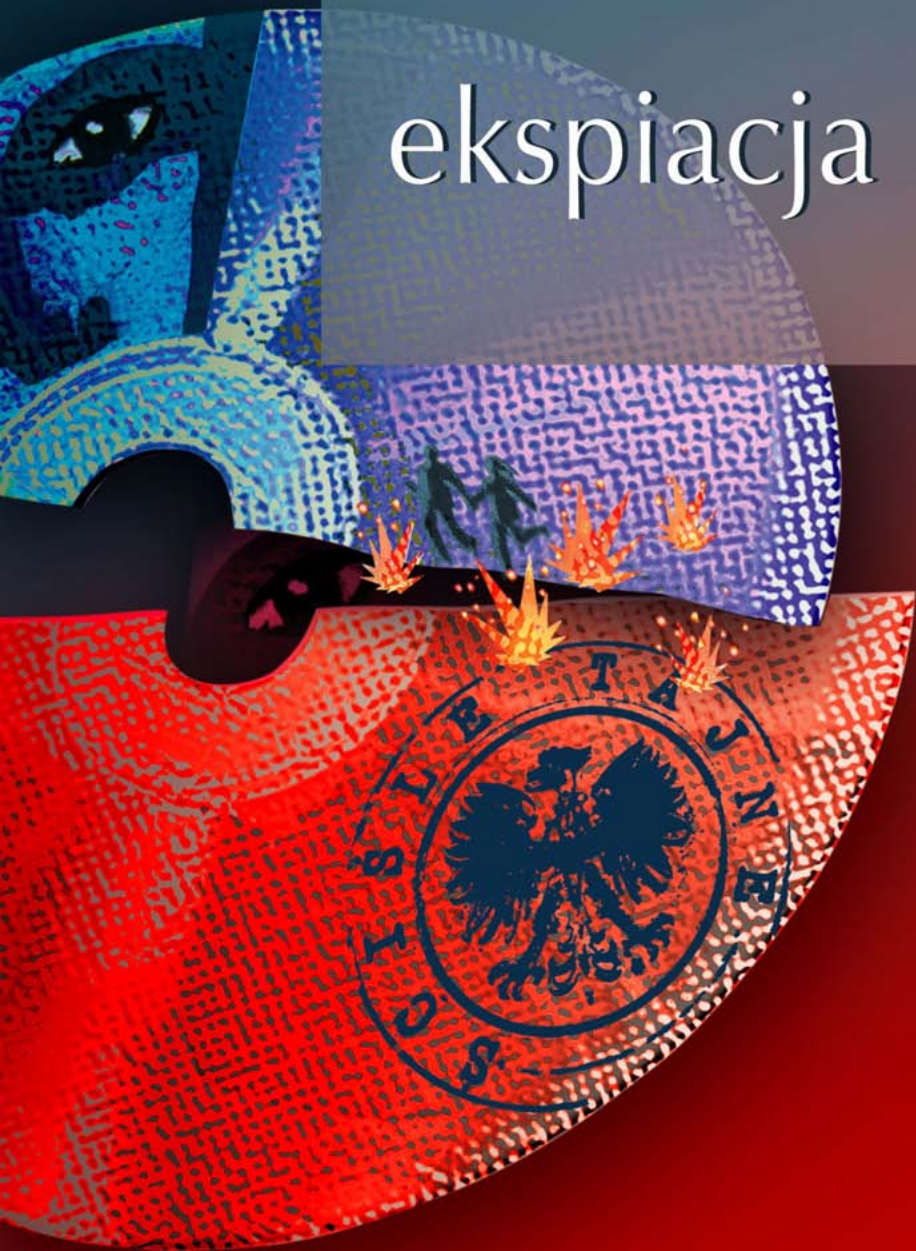


Marcin Wolski



# ekspiacja





w serii ukazały się:

Artur Baniewicz *Góra Trzech Szkieletów*

Artur Baniewicz *Drzymalski przeciw Rzeczpospolitej*

Anna Bojarska *List otwarty do królowej Wiktorii*

Anna Bojarska *Ja*

Anna Bolecka *Concerto d'amore*

Marek Bukowski *Wysłannik szatana*

Max Cegielski *Apokalipso*

Mariusz Cieślik *Śmieszni kochankowie*

Andrzej Horubała *Farciarz*

Witold Horwath *Seans*

Grażyna Jagielska *Korespondent*

Krystyna Kofta *Krótką historią Iwony Tramp*

Marek Ławrynowicz *Kino „Szpak”*

Marek Ławrynowicz *Pogoda dla wszystkich*

Gabriel Meretik *Kryptonim „Luksemburg”*

Tomasz Mirkowicz *Pielgrzymka do Ziemi Świętej Egiptu*

Joanna Rudniańska *Miejsca*

Hanna Samson *Pułapka na motyla*

Małgorzata Saramonowicz *Siostra*

Małgorzata Saramonowicz *Lustra*

Jerzy Sosnowski *Apokryf Agłai*

Jerzy Sosnowski *Linia nocna*

Marcin Wolski *Alterland*

Piotr Zaremba *Plama na suficie*

Mariusz Ziomecki *Lato nieśmiertelnych*

Marcin Wolski

# ekspiacja

## Początek

### I

Był to jeden z tych coraz rzadszych w naszych stronach kościołów, w których czuje się jeszcze obecność Boga. Gdzie potęga sacrum nie rozprasza się pod betonowym sklepieniem, nie gubi wśród dziwacznych kształtów skamieniałego namiotu, rozpiętego przez domorosłego Corbusiera na zlecenie operatywnego, acz kompletnie pozbawionego gustu proboszcza. Nieduża, drewniana świątynia, z przechyloną fikuśnie sygnaturką była niemal niewidoczna zza szpaleru jałowców i rzadkich sosen.

Przybysz zatrzymał się niepewnie na progu. Zdawało się, że w ostatniej chwili chciał nawet się cofnąć. Jednak lawina słonecznego światła wręcz popchnęła go w głąb ciemnego wnętrza, pachnącego żywicznymi deskami niedawno wstawionych ławek, wonią świeżo wypastowanej podłogi i ledwie wyczuwalnym zapachem kadzidła.

Światło wylewające się spoza potężnych ongiś pleców mężczyzny, dziś przypominających bardziej wieszak na letni przybrudzony płaszcz, sprawiło, iż naraz zaślniły kryształy żyrandola, mężczyzna zaś mógłby przysiąc, że biedny, ukrzyżowany Chrystus, wiszący w głównym ołtarzu, uniósł umęczoną głowę, a jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem wchodzącego. Tylko co on mógł zobaczyć?

Starego człowieka o zniszczonej twarzy emerytowanego aktora, który przez całe życie nadużywał mimiki, szminki i alkoholu.

Drzwi same zatrzęsły się za nim. Dźwięk ten, choć stłumiony, przypominał wystrzał. Przybysz zadrżał. Zapewne gdyby Jezus w prezbiterium został przedstawiony jako dumny Pantokrator, zawróciłby. Miał jednak przed sobą wyłącznie bezbronnego skazańca, niewinną ofiarę systemu, panującego przed dwoma tysiącami lat w imperium rzymskim.

Mężczyzna zrobił kilka niepewnych kroków. Ciężko oddychając, oparł się o najbliższą ławkę. Sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego. Spod płaszcza wystawały spodnie postrzępionej pidżamy i pospolite kaptcie wsunięte na gołe nogi. Kątem oka dostrzegł stulę przełożoną przez drzwiczki przymkniętego konfesjonału. Ruszył w tamtym kierunku.

Paweł zorientował się, że ktoś jest w kościele. Mimo wakacji z obowiązku dyżuruował na swoim posterunku. Penitentów miewał ostatnio niewielu. Ot, z paru dziennie, przeważnie studentów, szykujących się do egzaminów poprawkowych, lub co bojaźliwszych turystów, wybierających się pod koniec wakacji (bo taniej) w daleką podróż, zdecydowanych skorzystać z usług linii lotniczych dopiero po rozliczeniu się z Panem Bogiem...

Czasami miał wrażenie, że urodził się zbyt późno. Seminarium ukończył w momencie, gdy heroiczna epoka oporu, walki, a bywało – i męczeństwa odeszła w cień podręczników i nagrobków. Gdyby jeszcze swego czasu zdecydował się na wstąpienie do odpowiedniego zakonu, mógłby zostać misjonarzem, nieść Słowo Boże łowcom głów czy szukającym absolutu Polakom z Syberii, a tak utknął tu, na cichych peryferiach stolicy, pełnych domków, chałupek i willi, zamieszkałych głównie przez ludzi starych i bezdzietnych...

Nie mógł nawet poświęcić się powtórnej ewangelizacji wykorzenionych mieszkańców blokowisk... A kariera żołnierza? Był pewien, że nie zrezygnował z niej pochopnie.

- Wysłucha mnie ksiądz? - Mężczyzna, który przykleknął po drugiej stronie kratki, z pewnością nie należał do studentów ani globtroterów. Świszczący oddech wskazywał raczej na pensjonariusza któregoś z prywatnych domów starców, ulokowanych w okolicy, albo przybysza z nieodległego sanatorium przeciwgruźliczego lub też pacjenta centrum kardiologii.

- Naturalnie... - Paweł chciał powiedzieć „synu”, ale zorientował się, że wobec kogoś starszego o całą epokę zwrot taki mógłby zabrzmieć śmiesznie. - Słucham. W imię Ojca i Syna...

- Ostatni raz byłem u spowiedzi czterdzieści lat temu... - mruknął penitent. - Zresztą co to była za spowiedź? Rozpracowywałem tego klechę... Przepraszam, kapłana.

- Nigdy nie jest za późno na żal i skruchę...

- Czy może mi ksiądz nie przerywać?! Mam sporo do powiedzenia. Ale nie nazywajmy tego spowiedzią. Dobrze? U Pana Boga, jeśli taki gość istnieje, dawno mam przechłapanie. Ale... nie mogę tego tak zostawić. Po prostu nie mogę. Mniej we mnie życia niż żaru w zduszonym pecie, i gdyby nie pamięć... Miał ksiądz kiedyś matkę? Głupie pytanie, każdy ma matkę. Moja była... święta. I bardzo nieszczęśliwa. Dla niej postanowiłem nie utopić tego wszystkiego w niepamięci. Śni mi się ostatnio często po nocach, płacze... A płacz matki to gorzej niż płacz dzieci. Zresztą nie dorobiłem się bachorów. Jestem sam. Matka nie żyje. Nic już nie żyje. To, w co kiedyś wierzyłem, zdechło, a i moja własna śmierć jest cholernie blisko... Każdego dnia przed świtem słyszę bardzo wyraźnie, jak spaceruje po korytarzu. Zastanawia się - które

drzwi wybrać? Staje przed moimi, maca klamkę, potem idzie dalej. W szpilkach chodzi, suka.

Paweł westchnął. Opowieść zapowiadała się na długą. I nudną.

- Tak, tak, wracam do rzeczy - zmiłgował się staruch.  
- Zacznę od tego, że mnie nie ma. Serio! Nie figuruję w ewidencji ludności, nie mam dowodu osobistego, PESEL-u, NIP-u, nie mogę głosować. Powiem więcej - nigdy mnie nie było, ani mnie, ani mojej funkcji... Dwanaście lat miałem, jak znaleziono mnie w ruinach Warszawy. Matkę wywieźli na roboty do Niemiec, ojca komunistę rozstrzelali, jak się dowiedziałem, „polscy faszyci z AK”...

Zamilkł, ciężko łapał oddech. Powiedział kilka słów, których Paweł nie dosłyszał. Potem jednak mowa starca znów stała się bardziej zrozumiała.

- Dużo wiem, można powiedzieć wszystko. Słyszał ksiądz o „łączniku pamięci”? Nie słyszał... bo i skąd. Tajne łamane przez poufne. Ale jak sobie ksiądz przesłucha, to zobaczy...

- Przesłucha? Zobaczy?

- Wszystkiego nie da się powiedzieć własnymi słowami, bo czymże jest słowo? Gołębiem, którego można zestrzelić w locie, gliną, z której da się ulepić dowolny kształt, zwłaszcza jeśli dobrze podlać ją krwią. Słowa pachnące krwią, oj, jak one śnią mi się po nocach, jak śnią. Całe kałuże, podziemne oceany...

„Wariat, biedny wariat” - pomyślał ksiądz. Nie była to dla niego pierwszozna. Spowiadał kiedyś w szpitalu osobnika podającego się za Władysława Gomułkę. Na skraju śmierci zupełnie szczerze przeproszał za pacyfikację Wybrzeża. Był to oczywisty psychol. Prawdziwy Wiesław nie przeprosiłby za nic. Inna sprawa, że dzisiejszy penitent wypowiadał się o wiele precyzyjniej, przytomniej niż tamten...

Szczególnie gdy wspominał matkę, brzmiało to wyjątkowo wiarygodnie.

- ...Jedyna niesubordynacja, proszę księdza. Jedyne odstępstwo od zasad w ciągu pięćdziesięciu lat służby. Bezgranicznej, pieprzonej lojalności. Dość wcześnie odkryłem, kim jest moja matka i gdzie mieszka po powrocie z Rzeszy. Nie zameldowałem o tym, choć miałem obowiązek. Zresztą początkowo nic z tego nie wynikało. Obserwowałem ją, w miarę możliwości pomagałem za pomocą anonimowych przekazów, przychodzących okreśłą drogą z zagranicy, oczywiście bez osobistego kontaktu... Trzy lata temu, miała wtedy już grubo po osiemdziesiątce, dopadł ją wylew. Straciła mowę. Uznałem, że mogę wyjść z cienia. Byłem już na emeryturze. Nikomu nie mogło to zaszkodzić. Ani sprawie, ani jej. Pojechałem do szpitala. Nocą. Nikt mnie tam nie widział. Byłem jeszcze w niezłej formie, toteż ściany i drzwi nie stanowiły dla mnie przeszkody. Po jej wzroku, uścisku ręki zrozumiałem, że mnie poznała, w kącikach oczu pojawiły się łzy. Ja też, stary lajdak bez serca, poryczałem się. Cicho, ma się rozumieć. Zachowując pełne incognito załatwiłem jej pielęgniarkę, do której dzwoniłem co jakiś czas, dowiadując się o moją staruszkę. O dziwo, wbrew pierwotnej diagnozie, stan zdrowia mamy poprawiał się z dnia na dzień. Po paru tygodniach wróciła jej mowa, pozostał tylko niedowład prawej połowy ciała. Którejś nocy odwiedziłem ją znowu. Zaczęliśmy rozmawiać, po raz pierwszy od blisko pół wieku. I wtedy dowiedziałem się najgorszego... „To nie akowcy zastrzelili twego ojca, Franiu, to nasi...”

Stary mężczyzna na moment zamilkł. Stracił oddech czy raczej szukał właściwych słów? Paweł czekał spokojnie.

- Proszę księdza! Co się wtedy porobiło w mojej głowie. Nie potrafię opisać. Zresztą nie ma to wiele do rzeczy. Istotne było co innego. Zrozumiałem, że to, co wiem, nie powinno

przepaść. Nie powinno rozsypać się wraz ze mną. A zapewne ksiądz domyśla się, jak wiele wiem?

- Ile?

- Wszystko. A nawet więcej.

- Chce pan mi o tym opowiedzieć? – w głosie młodego księdza dał się wyczuć lekki niepokój. Nie miał już wątpliwości, rozmawiał z szaleńcem i mitomanem. Bał się nawet myśleć, jak owa dziwaczna rozmowa może się zakończyć.

- Nie teraz. Brak mi sił. Zresztą i tak ksiądz by nie spał. A poza tym słowo to żaden dowód. Dlatego zapisałem wszystko na CD: relacje, stenogramy, komentarze do ogólnodostępnych zdjęć i dokumentów.

- Ale na jaki temat?

- Nie teraz. Przekona się ksiądz sam... Wysłałem ją... Proszę się pochylić... – Przez chwilę szeptał mu do ucha dokładny adres na Saskiej Kępie. – Mieszkają tam przypadkowi, niezwiązani ze mną ludzie. Wiem, że mieszkanie jest chwilowo puste, gospodarze wyjechali na placówkę. Wystarczy w poniedziałek zajrzeć do ich skrzynki....

- I co mam począć dalej...?

- Co tylko ksiądz uzna za stosowne. Zrobiłem w życiu mnóstwo złych rzeczy, niech chociaż jedna będzie dobra... I jeszcze proszę zapamiętać, bo to ważne, najważniejsze! – powtórzył z naciskiem. – Pod żadnym pozorem nie wolno zwracać się z tym do naszych władz.

- Czy pan nie przesadza? Przecież dziś państwem rządzi dawna antykomunistyczna opozycja.

W odpowiedzi rozległ się gorzki śmiech, przypominający krakanie starego gawrona.

- Cóż z tego, że paru ludzi z nowego rozdania zajęło stanowiska? Tamci są wszędzie. O tym też ksiądz sobie przeczyta. Decyzję, co z tym dalej zrobić, pozostawiam księdzu. Może zachować to ksiądz dla przyszłych pokoleń albo

przekazać swoim kościelnym zwierzchnikom... Chciałbym jedynie, żeby to nie przepadło. I zaklinam, proszę bardzo uważać na siebie. Nie ufać nikomu, zwłaszcza przedstawicielom tak zwanego aparatu. Pilnować się cały czas. Ja już muszę iść. Byłoby źle, gdyby mnie tu znaleźli!

Wstał chwiejnie, czepiając się ściany konfesjonau.

– Niech pan poczeka! – zawołał Sulewski, przypominając sobie o swojej roli spowiednika. – Proszę mi powiedzieć, czy żałuje pan za swoje grzechy?

– Jak cholera!

– Pomódlmy się zatem.

– Niech ksiądz zrobi to w moim imieniu. Ja nie potrafię, nie chcę... A zresztą, jeśli Ten, w którego ksiądz wierzy, jest w istocie samą dobrocią i miłością, to nawet bez klepania tych waszych formułek wybaczy i takiemu sukinkotowi jak ja.

I odszedł. Ksiądz Sulewski siedział jak ogłuszony. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że nie może odnaleźć w pamięci stosownej modlitwy.

Kiedy wreszcie otworzył drzwiczki i wyszedł na miękkich nogach z konfesjonau, kościół porażał pustką. Tylko przy ołtarzu stary proboszcz przestawiał kwiaty.

– Widział go ojciec? – wybełkotał Paweł.

– Kogo? – wiekowy kapłan uniósł czerwone, wiecznie załzawione oczy alergika.

– Starego, schorowanego mężczyznę... Chyba szaleńca. Dość długo rozmawiał ze mną, ale nie chciał się spowiadać...

Proboszcz wytrzeszczył oczy.

– Nie widziałem nikogo, ale może dlatego, że byłem dłuższy czas w zakrystii... Wyglądasz na zdenerwowanego, bracie.

– Nie, nie... chyba jestem zmęczony.

– Chętnie zastąpię cię w konfesjonale.

Paweł Sulewski przyklęknął przed ołtarzem, po czym wszedł do zakrystii. W głowie kłębiły mu się sprzeczne myśli. Rozum radził powątpiewać w to, co usłyszał, z drugiej zaś strony, jeśli jednak było w tym chociaż ziarenko prawdy? Jak on pięknie mówił o swojej matce... Rozumiał doskonale uczucia starego, nie minął przecież rok, jak jego matka, Antonina Sulewska, także odeszła z tego świata.

Osunął się na kolana przed małym ołtarzykiem i zaczął się modlić. Czuł się tak, jak gdyby cały ciężar win, dławiący nieznanego, przeszedł na niego. Po chwili przytłoczony myślami, z rozkrzyżowanymi rękoma legł na zimnej posadzce. Myślał o swoich zwątpieniach, żądach i grzechach, które znał tylko on sam i Bóg.

\*

Pielęgniarze, jak białe widma, wyłonili się zza wysokich jałowców. Młodzi, krzepcy, niestroniący widać od ćwiczeń na siłowni. Pacjent nawet nie próbował uciekać. Ujęli go pod ręce i poprowadzili do bocznej furty. Na piaszczystej uliczce stała zwyczajna szpitalna karetka. Wysoki, szpakowaty mężczyzna z kołyszącym się na piersi stetoskopem, który poże-  
rał z zapalem apetyczne jabłko, zerwane z pobliskiej jabłonki, uśmiechnął się na widok starca.

- Znowu się spotykamy, stary przyjacielu - szerokim łukiem odrzucił daleko ogryzek.

- Był w kościele - powiedział bardziej barczysty z sanitariuszy. - Spowiadał się!

- Komunista u spowiedzi? Cóż, spodziewaliśmy się po tobie więcej, Omega - rzekł oczekujący. - Ale rozumiem, że resztę zeznań złożysz u nas.

Pojmany również się uśmiechnął. Miał dla „doktora” przykrą niespodziankę. Do całej operacji przygotowywał się

od długich miesięcy. Teraz był gotów. W ustach cicho trzasnęła fiolka.

- Kurwa - ryknął „doktor”. - Zrobił to, jebany! Do wozu z nim!

Wiedział, że teraz już nic nie da się poradzić. Jeśli Omega połknął ukryty w fiolce cyjanek, przesłuchać może jedynie trupa.

- Zabierzcie go - warknął do kierowcy i pielęgniarzy. - Reanimujcie, jeśli się da. Ja przyjadę później.

Wrzucił kitel do środka ambulansu i sięgnął po podłużną lekarską walizeczkę. Rozejrzał się czujnie dookoła. Żywej duszy! Sprężystym krokiem pospieszył w stronę kościoła. Ciepły sierpniowy wiatr owiewał jego krótkie siwe włosy, kontrastujące z młodą jeszcze, ogorzałą twarzą byłego sportowca.

W środku świątyni było pusto. To ułatwiało zadanie. Nie cierpiał komplikacji.

Podszedł do konfesjonału. Jedną ręką w cienkiej rękawiczce sięgnął do torby, drugą szybkim ruchem otworzył drzwiczki.

Siedzący wewnątrz stary ksiądz wyglądał jak wykopany z nory borsuk. Zdumienie odebrało mu mowę.

„Doktor” strzelił mu prosto między oczy.

- *Requiescat in pace!* - mruknął.

Jeszcze raz się rozejrzał, potem zamknął torbę. Dla pewności obszedł świątynię. Wsunął głowę do niewielkiej zakrystii. Gdyby był nieco wyższy, być może stół nie zasłoniłby mu Pawła, rozciągniętego przed ołtarzem. Nie zobaczył go jednak, nie wyczuł, nie usłyszał. Stary zegar akurat zachrypiał i zaczął, nie wiedzieć czemu, wybijać trzecią na trzy minuty przed terminem. Obok twarzy zabójcy przemknęła jakaś pszczoła, zwabiona wszechobecnym zapachem kwiatów. Siwy odwrócił się i wyszedł. Poniżej statui św. Antonie-

go zauważył bukiet świeżych goździków. Urwał jeden i włożył do butonierki.

Lubił kwiaty.

## Sobota

Wikary usłyszał ciche kasznięcie, dochodzące z bocznej nawy, ale nie zwrócił na nie uwagi. Podobnie jak na skrzyknięcie nienaoliwionych drzwi zakrystii. Modlitwa uspokoiła go. Postanowił porozmawiać z proboszczem. Starzec zgromadził bogate doświadczenie podczas czterdziestu lat posługiwania w czasach komuny i mógł pomóc w zrozumieniu tego, co usłyszał młody ksiądz, tym bardziej że rozmowa z nieznanym nie była formalną spowiedzią, a zatem nie wiązała go tajemnica.

W kościele powitała go dziwna cisza. Za głęboka nawet jak na pustą świątynię.

- Księżu Waclawie - odezwał się półgłosem. Nikt mu nie odpowiedział. - Księżu Waclawie!!!

Podbiegł do konfesjonału. Drzwiczki były otwarte. Gdyby nie wybałuszone oczy i mała dziurka pośrodku czoła, mogłoby się wydawać, że proboszcz usnął.

\*

Ksiądz Sulewski zareagował tak, jak każdy na jego miejscu. Drżącymi rękami wysupłał spod sutanny komórkę i zaczął wybierać numer policji. Wystukał 112 i zrezygnował. Martwy duchowny był najlepszym dowodem prawdziwości zwierzeń starego mężczyzny. A ten przecież przestrzegał przed kontaktami z policją. Paweł odłożył telefon i wrócił do kościoła. Kiedy przekonał się, że tabernakulum jest nienaruszone, nie miał już wątpliwości, iż w świątyni nie

pojawił się złodziej. Kula przeznaczona była dla spowiednika. Morderca nie przewidział tylko zamiany księży w konfesjonale. Ale jeśli ma starca, szybko domyśli się, że popełnił błąd... A wtedy wróci poprawić spapraną robotę.

W pierwszym impulsie skoczył zaryglować drzwi, jakby przerdzewiały skobel mógł stanowić jakąkolwiek zaporę. Potem próbował opanować narastającą panikę.

„Nie histeryzuj, myśl!”

W młodości, zanim przyszło powołanie, marzył o zawdzie prywatnego detektywa. W fantazjach bywał również muszkietierem, kapitanem Klossem, Jamesem Bondem. Był nawet czas, gdy zdawało mu się, że może je urzeczywistnić.

Po maturze z własnego wyboru znalazł się w wojsku, marzyły mu się siły specjalne... „Nowa, wolna Polska potrzebuje takich, jak ty” – powtarzał mu jego ówczesny mentor. Podobno miał wrodzone predyspozycje do sportów walki. Jeszcze w podstawówce przez jakiś czas uprawiał boks, w liceum pociągały go walki wschodnie. Dbania o tężyznę fizyczną nie zaniechał nawet po wstąpieniu do seminarium. Pomagało mu to w pozbywaniu się nadmiaru energii, zmniejszało pokusy... Nawet obecnie prowadził ośrodek sportowy przy parafii.

„Teraz mam okazję się sprawdzić!” – pomyślał, zagryzając wargi. Zastanawiał się, co by było, gdyby musiał stanąć twarzą w twarz z zawodowym mordercą. Rozsądek podpowiadał mu, że nie miałby najmniejszych szans z pozbawionymi skrupułów profesjonalistami.

Pozostawała ucieczka. Wiedział, że powinien jak najszybciej opuścić kościół i poinformować o zdarzeniu swego duchownego zwierzchnika. W tym celu musiał się przebrać. Nie mógł uciekać w sutannie. W schowku obok zakrystii znalazł stare ubranie, którego używał podczas prac remontowych w kościele. Wiedząc, że świątynia może być obser-

wowana, zrezygnował z ewakuacji wejściem od zakrystii, a także drzwiami frontowymi, które otworzył (zamknięte nie ochronią przed nikim, a wzmogą tylko podejrzenia).

Ponad dwadzieścia lat temu zabity dziś proboszcz, wyposażając kościół i plebanię w centralne ogrzewanie, ograniczył się do jednego pieca. Dlatego oba obiekty łączyły rury biegnące podziemnym korytarzykiem. W stanie wojennym korzystali z niego konspiratorzy, drukujący bibułę. Paweł był szczupły, toteż bardzo szybko pokonał przejście.

Już po dziesięciu minutach był w swoim pokoju na plebanii. Wziął pieniądze, portfel, prawo jazdy, kurtkę przeciwdeszczową, garnitur. Równocześnie ułożył sobie plan działania: uda się do swojego biskupa, którego znał dobrze jeszcze z czasów seminarium. Jego zwierzchnik był rozsądnym, otwartym człowiekiem. Wspólnie wymyślą strategię dalszego postępowania.

Samochód wypchnął z blaszanego garażu bez zapalania silnika. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy jego odjazdu. Gospodyni nie wróciła jeszcze z zakupów, kościelny pojechał do lekarza... Sulewski otworzył starą, rzadko używaną bramę od strony lasu i wyjechał na przesiekę. Wolął ominąć główną drogę. Przecinając alejkę, biegnącą wzdłuż ogrodzenia, kątem oka zarejestrował czarnego passata, stojącego tuż obok bocznej furty, i siwego, postawnego mężczyznę, który wszedł na teren kościoła.

Instynktownie dodał gazu.

\*

Siwy zauważył, oczywiście, samochód, pędzący szaleńczo wyboistą drogą.

Instynkt łowcy nakazywał mu gonić go, strzelać... Poha-mował się. Popenił już dwa błędy za dużo. Nie dopadł

Omegi na czas i w dodatku przeoczył świadka. Spokojnym krokiem wszedł do kościoła. Trup tkwił tam, gdzie go zostawił – w zakrystii, natomiast w ciągu ostatnich minut zaszły wyraźne zmiany: przewrócone krzesło, porzucona stół, na ziemi sutanna, zdjęta ani chybi w najwyższym pośpiechu, czego dowodziły dwa urwane guziki...

– Przebrał się w cywilne łachy! – mruknął do siebie, zaglądając do uchylonej szafy. „A więc świadkiem zbrodni nie był kościelny czy jakiś przypadkowy gość, ale duchowny. Prawdopodobnie wikary... Może to nawet on spowiadał starego?!”

Na ścianie, do której się zbliżył, wisiało parę fotografii starego proboszcza w gronie młodzieży oraz wspólne zdjęcie z biskupem i z drugim księdzem – młodym, wysokim, o zgoła świeckim wejrzeniu jasnych oczu.

„Przystojniaczek!” – pomyślał. „Taki, co to się podoba kobietom i mężczyznom. Mężczyznom nawet bardziej!”

W tle, za plecami trójki duchownych, majaczył kościół i lasek. Datownik wskazywał dzień sprzed pół roku. Nie ulegało wątpliwości, że zdjęcie przedstawia księdza i jego młodego wikarego. Siwy pociągnął nosem. Złapał wyraźny zapach swojej zwierzyny, zapach człowieka w najwyższym stopniu zdenerwowanego, używającego taniej wody kolońskiej. Przyklęknął, dobrą chwilę wodził dłonią po kamiennej posadzce. Pod ołtarzem wyczuł, że jest odrobinę cieplejsza.

– Drań leżał tu i się modlił, kiedy zajrzałem. Pech!

Na moment jego uwagę przykuła złocista pszczoła, która jakimś sposobem wpadła do zakrystii i teraz tłukła o szybę, próbując wyrwać się na wolność. Stracił ją na ziemię i z nieukrywaną przyjemnością rozgniół obcasem. Nienawidził pszczoł.